

NOWINY TYGODNIA

Dodatek społeczno - kulturalny „Nowin Rzeszowskich”

Nr 10 (403) — SOBOTA 15. III. 1958 r.

● DWUGODNIO
WY POBYT NA
WCZASACH
● TECZKA AKTÓW
KA
● PÓŁROCZNE
ABONAMENTY
DO KIN
(Szczegóły patrz str. 4)

Strony rodzinne

Czyż serca przeżarte tęsknotą rozłąki emigracyjnej, nie wzdrygnę się na sam dźwięk czarownego słowa: strony rodzinne?

Jakimi słowami określić głód wzruszeń na widok rodzinnej chaty, której progi opuściło się przed dziesiątkami lat?

Jakim okrzykiem wybuchnąć w momencie spotkania się z Matką, wypracowaną starością, która w spazmach radoznego szloch bierze w macierzyńskie objęcia marnotrawnego syna i tuli do wychwiezionej piersi — do piersi, którą kiedyś pochylała nad jego kołyską?

Jaką potęgą ogarnąć to wszystko, zwyciężyć i nie upaść pod ciężarem wrażeń?

Chciałbym przemilczeć i zapomnieć. Zapomnieć — zapomnieć!

Nie warto zresztą pisać o takich spotkaniach. Tym bardziej, że nie każdy jest zdolny zrozumieć ich wymowę.

Istnieją na świecie rzeczy dostępne tylko dla wybrańców, jak na przykład osobista uroda, zdolności, ładna linijka czy błyskotliwa bieżączka. W moim wypadku chodzi o rzecz bardzo skromną, ale najświętszą pod słońcem: o spotkanie z Ojczyzną i Rodziną. Formę i użyteczność samochodu można pojąć z byle propagandy gazetowej. Ale chcąc poznać i zrozumieć ogrom wrażeń i wzruszeń związanych ze spotkaniem się z Ojczyzną i Rodziną — trzeba to wszystko przeżyć.

Już samo zetknięcie się z tąd drogim mi krajobrazem rodzinnego Podkarpacia wywołało w mej piersi wybuch długo tłumionej tęsknoty i zaszumiło w głowie niezgłębionym wyciem jakiejś radości czy bólu, paliło jaźń moją jakąś wulkaniczną lawą sentymentu, rozsądzało mocą ech dzieciństwa i straszliwym krzykiem bolesnych wspomnień, podobnych do nocnego szumu morza „Pana Balcera”, kiedy to:

...z przepaści krzyk bije bezdenny i wściekle tucze w skalisty zapórę,

...z przepaści krzyk bije bezdenny i wściekle tucze w skalisty zapórę,

Nazwisko Wojciecha Breowicza nie pierwszy już raz pojawia się na łamach naszego tygodniowego dodatku. Pisał w lutym ubr. o dwu tomkach jego utworów, które ukazywały się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Drukowaliśmy też w październiku 1957 r. jego wspomnienia z wakacyjnej podróży jako przedsięwzięcia latem z Brazylii do Polski.

Ten syn rzeszowskiego Podkarpacia, znany czytelnikom przedwojennej prasy ludowej z licznych utworów, które ta prasa zamieszczała, działacz społeczny wśród polskiej emigracji w Brazylii, nie zawiesił bynajmniej w ostatnich latach pióra na kolku. Owocem jego ostatniej podróży do Polski był cykl wspomnień, które w kilkunastu numerach drukowało polskie czasopismo „Slewa” wychodzące w stolicy Stanu Parana — Kuratybie.

Wzruszającym zwłaszcza epizodem tych wspomnień są wrażenia autora odwołane ze spotkania z niewidzianymi od dwudziestu kilku lat stronami rodzinnymi i z matką-staruszką, która mieszka w Osobnicy w pow. Jasiejskim. Fragment, który niżej zamieszczamy, stanowi część cyklu wspomnień z podróży, które drukowało pismo „Slewa”.

Ze każda kropla osobno kołaczę...
A czasem wyje, a czasem znów piacze”.

Ranek 28 lipca był dżdżysty, wietrzny i zimny.

Jasio, Żegnam się z towarzyszem podróży, artystą-malarzem z Montevideo — Bronisławem Tokarzem, który jedzie do matki pod Sanokiem — i wychodzę na plac dworcowy. Nie widzę żadnego milicjanta, natomiast spostrzegam stojącego opodal jednokonnego wóz chłopski. Podchodzę, ale przywozie nie ma nikogo. Widzę dwa siedzenia: takie same jak na naszych wozach w Brazylii. Acha — pomyślałem — ktoś przyjechał po kogoś. Może po mnie? Chyba telegram wysłany przedczaraj z Warszawy otrzymał? Postawiłem kotwiczę płaszcza, nacignąłem kapelusz na uszy i czekam na deszczu, jak Filip w konopiach. Po chwili podchodzi tegi, barczysty i wąsaty chłop i zapytuje uśmiechem: — Czy pan nie z

Brazylii czasami? — Spojrzałem na nieznanego i mówię: — Tak, z Brazylii. Jestem... — O, bracie mój! — zawołał jakimś dziwnym głosem. — To ja, twój brat Staszek.

Wpadliśmy sobie w ramiona. Dłuższą chwilę wstrząsałami ciężki szloch. Wtem czuję, że ktoś drugi rzuca mi się na szyję. — To ja, twój brat Józek...

Smagał nas ulewny deszcz i targał zimny wicher. Nie czuliśmy tego. Stałiśmy wszyscy trzej, jak związany cementem mur. Cementem tym była miłość braterska, potężniejsza od wichrów i burz. Miłość.

Wytaśliśmy skronie z rzęstiwych kropel lez i deszczu — i jazda do rodzinnej wioski Osobnicy. Brat Józef siada o bok mnie i trzyma nad głowami parasol, który jednak nie daje pożądaną ochronę. Woda pryska spod kół, ale wóz toczy się wesoło po dobrze utrzymanej szosie. Koń pędzi jak szalony, podenerwowany deszczem i wichurą. A może i on odczuwa i podziela radość trzech wiezionych braci?

Opowiadaniom nie ma początku, ani końca. W rodzinie nie wszystko w porządku. Zdrowi, pracują i mają co jeść. Jasio było kompletnie zniszczone, ale zostało, jak widzisz, odbudowane i dalej się rozbudowuje. Dobrze.

Przed 600-leciem Brzozowa

Brzozów przygotowuje się do obchodów 600-lecia istnienia. Pierwszą historyczną wzmiankę o Brzozowie stanowi przywilej wydany przez Kazimierza Wielkiego w 1359 roku dla Stefana, dziedzica Sobniowa k. Jasła na założenie nowej wsi na wzgórzu zwanym Brzozowa od lasu brzoźowego, który rósł na tym miejscu. Wieś została później otoczona fortyfikacjami i obwarowana. W związku z najazdami tatarskimi w roku 1413 król Władysław Jagiełło podniósł ją do rzędu miast.



TO JEST WARSZAWA

SZTURM NA SZTUKĘ

DZIAŁACZE kulturalni stolicy dokonali niedawno zadziwiającego odkrycia: ludzie interesują się poważną sztuką!

Publiczność, którą dotychczas pomawiano, że woli film niż teatr, jazz niż muzykę poważną, że nie potrafi pojąć tajemnic współczesnego malarstwa, a o historii sztuki nawet słuchać nie zechce — przybyła tłumnie do Muzeum Narodowego na pierwszy odczyt z cyklu „Od piramid do Picasso”. Przyszło aż 7 tys. ludzi. Wypełniliśmy kameralną salę przewidzianą na... 400 osób, stłoczyli się w przyległych pomieszczeniach, na schodach, u wejść i cierpliwie czekali, aż zaskoczeni ta frekwencją organizatorzy przeniosą całą imprezę do hallu, w którym zmieścić się mogło zaledwie tysiąc ludzi. Ustapili dopiero wtedy, gdy zapewniono, że odczyt będzie powtórzony.

Ta publiczność, to była młodzież szkolna i emeryci, akademicy i oficerowie, „sfery kulturalne” i prości ludzie — wszyscy jednakowo spragnieni słowa o sztuce, którego w niezmiernie małych i fragmentarycznych dawkach dostarczają wydawnictwa książkowe.

Po pierwszym wykładzie prof. Michałowskiego entuzjazm (bo inaczej tego nazwać nie można) nie tylko nie przeminał, lecz jeszcze się wzmożył. Ludzie przychodzili o 4 godziny wcześniej, by zapewnić sobie dobre miejsce, głośno wyrażali uznanie dla prelegentów.

Wkrótce po rozpoczęciu odczytów — zaczęły nadchodzić listy z Londynu, Paryża i Brukseli z prośbą o podanie programów i techniki organizacyjnej.

Dla 3 tys. statych bywalców prelekcji urządzono na zakończenie małą uroczystość wręczenia dowcipnych dyplomów uczestnictwa.

Kontynuacja odczytów w Muzeum Narodowym stały się „Rozmowy o sztuce” urządzane w Galerii warszawskich plastyków przy ul. Marszałkowskiej, organizowane również przy udziale Wydziału Kultury St. Rady Narodowej i „Expressu”.

Ich celem jest zbliżenie odbiorców sztuki do malarstwa współczesnego. Środkiem — swobodna pogadanka, przebiegająca i szczególnie atmosfera Galerii, w której stale odbywają się wystawy malarstwa współczesnego.

Podobnie jest z popularizacją dobrej muzyki. „Warszawskie koncerty” zdobyły sobie już uznanie i Salę Kongresową wypełnia z górą 3 tys. słuchaczy, tzn. komplet. Przychodzą tu, bo mają możliwość posłuchania dobrej muzyki w dobrym wykonaniu i po cenach przystępnych nawet dla chudej kieszeni. Drugi „Warszawski koncert”, poświęcony muzyce operowej z udziałem najwybitniejszych polskich śpiewaków, wypadł doskonale. W maju wystąpi Wielka Orkiestra Polskiego Radia pod dyktando Jana Krenza, w czwartku przyjdzie na „Warszawskie koncerty” słynna orkiestra filadelfijska.

MARGINES tygodnia

RYUNKI POLSKICH DZIECI W PARYŻU

Muzeum Narodowe wraz z Pałacem Młodzieży przeprowadziły w roku ubiegłym ciekawy eksperyment. Zbliżając dzieci do sztuki, do eksponatów muzealnych, zorganizowały konkurs plastyczny na najlepszy obrazek na ten temat. Rezultaty okazały się znakomite. Dzieci, inspirowane przez prawdziwe dzieła sztuki, wykonały zadziwiające prace, ciekawe zarówno pod względem artystycznym, jak i metodyczno-pedagogicznym. Obecnie wybór prac konkursowych wraz z albumem fotograficznym zawierającym dzieła sztuki, które w swym malarskim świecie tak czarująco trwają, mowali młodociani artyści, będzie wysłany do Francji. Wystawę tę pokazuje się najpierw w szkole w Batignolles, założonej ongiś przez Adama Mickiewicza.

ESPERANTO — TU I TAM

Nepal, będący punktem wyjściowym dla wszystkich wypraw himalajskich, postanowił wprowadzić u siebie naukę esperanta, aby ułatwić miejscowej ludności porozumiewanie się z coraz liczniejszą napływającymi cudzoziemcami. Otwarły w Katmandu kurs języka esperanto liczy 50 osób. Bierze w nim udział sam... minister oświaty Nepalu.

Szeroko komentowane były swego czasu przekłady na esperanto „Pana Tadeusza”, „Faraona” i „Quo vadis”. Przekład tej ostatniej powieści ukazał się nakładem jednego z wydawnictw holenderskich. Obecnie reedycje przekładu „Quo vadis” przygotowuje wydawnictwo „Polonia”, które niedawno wydało „Medaliony” Zofii Nałkowskiej, w tłumaczeniu na esperanto dokonanym przez T. Hołakowskiego.

O PICASSIE W MOSKWIE

W Moskwie ukazała się po raz pierwszy monografia poświęcona Pablo Picasso. Jej autorem jest A. Władimiriński. Książka posiada 114 stron, 28 reprodukcji poza tekstem (w tym trzy barwne) i 14 reprodukcji w tekście. Autor eksponuje w niej pierwszoplanowo te okresy twórczości Picassa, które są bliższe realistycznemu przedstawianiu, a więc: okresy niebieski i różowy. Ma to swoje uzasadnienie m. in. w tym, że duża część obrazów Picassa z tych okresów znajduje się w zbiorach radzieckich.



POLEMIKI — DYSKUSJE — POGLĄDY — POLEMIKI — DYSKUSJE — POGLĄDY —

SZCZERZE cieszy mnie skądś wzmianka w prasie zapowiadająca, że jakiś zakład pracy postanowił skończyć z deficytem. Masowe dążenie do rentowności daje mi jako obywatelowi nadzieję, że nie będę potrzebowała godzinami stać w kolejkach, że w sklepach znajdę bogatszy asortyment towarów, że moje życie z czasem stanie się łatwiejsze i lepsze. Są jednak dziedziny, w których pogoń za rentownością napawa mnie przerażeniem. Do takich dziedzin należy przede wszystkim kultura.

NIEDAWNO odbyła się w Nowej Hucie narada kierowników zakładowych domów kultury, której zasadniczym celem było omówienie nowych form działalności.

Gdy po długim błądzeniu po nie nazwanych ulicach Nowej Huty dónalazł wreszcie właściwy budynek, narada była w pełnym toku. Trafiałam na moment, gdy ospała chwilami sala siedziała jakby zelektryzowana. Było to po wypowiedzi gospodarza narady — kierownika domu kultury w Nowej Hucie, który omiędlił z zdumienia gościom zakomunikował wysokość dochodów, jakie przyniosł w roku ubiegłym dom kultury. Pół miliona! Pół miliona zarobione na upowszechnieniu kultury. Na biletach kinowych, na opłatach za udział w zajęciach Uniwersytetu Powszechnego, na występach zespołu, na rytmii

ce dla dzieci, na kursach kroju i szycia, na... Powie ktoś, że kursy kroju i szycia — to już nie kultura. Ale Nowa Huta jest trudnym miastem. Średnie zarobki są tu wyższe niż gdzie indziej. W zasadzie wszyscy mieszkają tu w nowoczesnych mieszkaniach i pracują w nowoczesnym za-

kładzie. Ale jednocześnie na 17 tys. pracowników kombinatu — 5 tys. nie ma nawet podstawowego wykształcenia. Ciemnymi ulicami Nowej Huty snują się wieczorami ci, którzy nie mając wielkomięjskich ciągów, jakie zaspokaja Kraków, kontentują się smutną, kinają i koleżeńskobramowym poczęstunkiem.

W takiej sytuacji kursy kroju i szycia też są kulturą, tak jak jest nią rytmika, szachy i każdy wieczór spędzony w rozbitym na 8 odległych od siebie lokali domu kultury. Na tym właśnie, kielkującym dopiero pragnieniu nauczania się czegoś, za rabią nowohutecki dom kultury. Na tym, że nie bardzo wiedząc co z sobą robić wybiera się tu jednak film oświatowy, zamiast knajpy lub cwaniackiej rozróby.

Kierownik wziął sobie do serca sytuację ekonomiczną kraju i apel, by każdy obywatel na swym odcinku troszczył się o to, iiał pomóc państwu. Zrozum, może po swojemu i działał udzie w najlepszy sposób, a dopłacą bez

nie obciąża budżetu państwa — wszystko zatem jest w porządku.

W czasie przerwy otoczyło go grono uczestników narady. Pełni podziwu, skrzętnie notowali, na czym ewentualnie będą mogli zarobić we własnych placówkach. Też w najlepszej wierze. Pełni uznania dla swego przedsiębiorczego towarzysza, zawstydziła ni własną niezadarnością, gorliwie zaczęła odrabiać zadległości. I tak, państwu już jutro przybędzie nowe, poważne źródło dochodu.

NIEDAWNO na Sejmowej Komisji Kultury minister Kuryluk przedstawił projekt budżetu Ministerstwa Kultury. Były to burzliwe posiedzenia, ponieważ okazało się, że cała nasza kultura jest deficytowa. Państwo dopłaca do teatrów, dopłaca do kin, nie mówiąc już o całej działalności na polu upowszechnienia kultury. Zastanówmy się jednak, czy jest w tym nieprawidłowość sprzeczna z naszym ustrojem?

Wiadomo powszechnie, że pogoń za rentownością musi rodzic zmirze. Weźmy dla przykładu kinematografię za chodnią. Na filmach producencki robią tam milionowe fortuny. Ale jednocześnie najbardziej ambitni reżyserzy „kręcą” kasowe szmiry po to, aby zgromadzić fundusze na realizację filmów wartościowych. Tam jednak jest to konsekwencją działających praw kapitalistycznych. Tam państwo nie prowadzi polityki kulturalnej.

(Ciąg dalszy na str. 3)

W GODZINACH popołudniowych, bez względu na porę roku, na przedmieściu, którego nazwy nie podamy, goniono gołębie. Co chwila z którychś zabudowań wyfruwała skrzydłata gromada pstryków, siwych kasztanów, mewków, perłowych, krakusów, końcących... i Bóg raczy wiedzieć jakich jeszcze. Tak je nazywano. Szybowały jak jaskółki, śmigły ostro i lśnią w słońcu, unosiły się jak białe chmurki, wyżej i wyżej... Ich jasne kolory zmieszane z niebem... O, jak je można policzyć wszystkie, piętnaście, dziewiętnaście... jak motyle. Ginęły z oczu, gdy zmieniwszy nagłe kierunek, zlewały się na chwilę z niebem, to znów, nastawiając całą szerokość skrzydeł ku słonecznym promieniom, lśniły jak jaskółki. Były już wysoko. Toteż Wojciech mawiał wtedy zwykle: „wykopały się jak jaskółki”.

Wojciech był miłośnikiem gołębi. Był amatorem. Zamieszanie ku gołębiom tkwiło jak gdyby w jego naturze, dobrej, uczuciowej, współczującej — i trudno by sobie wyobrazić Wojciecha nie chowającego gołębi. Był z nimi związany duchowo nierozdzielnie: miłością. Jego wzruszenia, powiedziły wzruszenia artystyczne prostej jego duszy, obracały się koło tego jednego słowa: gołębie. Zyl tym słowem, myślał o nim. Nocą śniły mu się białe, gruchające na gołębniku, iskające sobie piórka — gołębie. Istotnie widział je we dnie na rozgrzanej papie gołębnika, gruchające wesoło, to znów jak z łoskotem i klepaniem zrywały się w powietrze, jak znosiły wiosną suche słomki i gałuszki — i układały gniazda. Pomagał im wtedy dodawał słomy — i cieszył się ogromnie, gdy samiczka którejś z par, zniósłszy dwa białe małe jaja, rozczapierzona usiadła na nich. Cieszył się, że będą młodzi, takie same jak stare: z małymi dzióbkami i słiznie wyniętym „gorsem” na pierśsiach — i równiutką koronką na głowie. Liczył wtedy dni na palcach, wyczekiwał — w dniu szesnastym spodziewał się stanowczo młodych. Inaczej jajka były zepsute, „zazębione”, lub „czyste”. Wtedy — gdyby tak było — miałby wyrzuty, wtedy, gdyby to mógł powiedzieć, bez wątpienia powiedziałby tym leniom, że źle siedziały na jajkach — i że nie dały się narodzić tym małym stworom.

Obserwował czas wysiadywania na jajkach, to samiczki — to samca. Wiedział dokładnie, kiedy następowała zmiana. Była dwa razy dziennie. Pierwsza o godzinie dziesiątej rano, kiedy samiczka po całonocnym czuwaniu i wysiadywaniu opuszczała ciepłe gniazdo i powierzała je samcowi; druga — o trzeciej po południu. Przychodził zwykle z wabieniem, z pogruchiwaniem i długo potem gmerał w gnieździe zanim rozczapierzony usiadł. Samiczka wychodziła wtedy na dach, potykała chciwie żółte ziarna kukurydzy rozsypanej po gołębniku, po czym gasiła pragnienie wodą. W powietrzu śmigły jaskółki i języki. Rozplaszczała się teraz chwilę na gorącej papie gołębnika i pilnie śledziła ich zawrotne zygarki. Szczególnie bure — a krzykliwe języki, przypominały jej do złudzenia małe jastrzębie, drapieżne, czyhające na jej życie — i życie jej dzieci.

Po tygodniu Wojciech przegladził jajka. Wyciągnął narzane spod pierśsi samiczki. Były ciepłe, krągłe, małe. Biła go skrzydłami. Bezradnie lecz uparcie broniła tego usiponego jeszcze życia pod sobą, dziobała go małym dzióbkiem, krzyczała trwożliwie, po gołębiemu, wydając dziwne, jakieś lekkie i urywane: uu, uu...

— Cicho, głupia, mawiał Wojciech — nic im się złego nie stanie.

Brał jajka delikatnie, ostrożnie obracał nimi pod słońce, wpatrywał się w nie, po czym zadowolony, ostrożniej jeszcze kładł je z powrotem pod ciepłe pierśsi matczyne. Znowu wydawała z siebie to twórgę wyrażające uu, uu... lecz widząc, że nie grozi im niebezpieczeństwo — powoli poprawiała dzióbkiem jajka, po czym, uchyliwszy nóżek, i kucnąwszy lekko, zakrywała jajka, ciepłą pierzastą pierśsią. O, gołębia, matczyzna troska...

— „Zamaczone”, — mruzczał Wojciech!

Istotnie jajka były dobre, „zamaczyły się”. Zaczynało się w nich życie: białko obiegało wąziutkimi nitkami krwi, żyło.

W szesnastym dniu wysiadywania sercatych ukazywały się na obu szerszych częściach jajek, zrazu małe — potem wyraźniejsze już gwiazdki... skorupka pękała, rysowała się coraz szerzej, wyraźniej. Wojciech wyciągnął je znowu spod ciepłej pierśsi samiczki. Biła go jeszcze gwałtowniej, jeszcze trwożliwiej niż przedtem, dziobała bezsilnie grubą dłoń Wojciecha, w której najbezpieczniej spoczywały dwa młode, małe, nie narodzone jeszcze — a już żywe, gołębie...

— Nadziobują się — oznajmił Wojciech — zadowolony i uradowany.

Istotnie, przyłożywszy jajko do uszu, słychać było całkiem wyraźnie przerywane nastukiwanie. Jakby dalekie kucie dzięcioła w korę drzew.

...A gdy się wyległy, to brał je na dłonie i chuchał na nie ciepłym oddechem — a one, ślepe jeszcze, słabutkie, pokładały główki jedno na drugie, podnosiły je — i dzióbki otwierały niezgrabnie. Były żółciutkie, jak mech — i miękkie. Karmione śliną starych i papką, rozwijały się szybko.

Wojciech miał gołębie serce, pielęgnował je, pilnował i cieszył się, jak po kilku dniach rozlepiły się im oczka — a wtedy patrzyły na niego ogromnie spokojnie, po gołębiemu. Klekowały im piórka, rozpyływały się jak na wiosnę kępy młodej trawy, piskliwie podnosiły się na chwylone nogach, otwierały dzióbki i „dudrały” nimi po woli samicek, która przysłała je nakarmić. Były żarłoczne. Po-

JOZEF ANDRZEJ FRASIK

Wojciech Gołębiarz

(OPOWIADANIE)

trzebowały więcej niż stare, potrzebowały opieki i ciepła czterech skrzydeł rodziców. Potrzebowały także czujnych oczu Wojciecha.

Wojciech kochał ogromnie to białe stado. Rano, zanim wyszedł do pracy, nasypał kukurydzy na gołębnik, podniósł w dębniku tak zwane „klawiszki”, aby gołębie mogły swobodnie wychodzić do kłapy. Kłapa, którą stanowią duży druciany kosz przykrywający niemal jedną trzecią gołębnika, przymykał zwykle na cały czas swojej nieobecności, tak, że gołębie wtedy nie mogły samopas opuszczać gołębnika, miały natomiast swobodę i możliwość przebywania na stołcu i powietrzu. Wojciech zdawał sobie z tego doskonale sprawę, że gdyby pozostawiał cały dzień bez opieki, wyszłoby im to zawsze na szkodę. Zamknięte do południa, tym lepiej i zwinnie latały, gdy wrócił z pracy, lepiej były tak zwanego „fronta”, co oznaczało, że gołębie są dobrze dobrane — a przede wszystkim zgrane w szybkim locie.

Prawie dobiegał sercącym miesiącem, gdy po raz pierwszy wyszły z gołębnika — na dach. Piskliwe i żarłoczne. Stare dokarmiały je jeszcze, potem uciekały już przed natrącością dzieci, które uparcie prosząc pożywienia, dudrały jeszcze po woli samiczek, to gonili za samcem, ich ojcem gołębiem, ale nic nie wskórały. Stare wiedziały, że młode już same mogą dać sobie radę. „Młodzi” godowały teraz trochę, lecz już następnego rana zauważył Wojciech, że jedzą same. Zaczynały się uczyć jeść. Zrazu niezdarne po kilka razy brały w dzióbek to samo ziarno, obracały w dzióbku — i upuszczały. Och, co za radość była — gdy już same umiały jeść. — Same jadły!



Wyrzęwały się potem w ciepłym słońcu i teraz one teraz właśnie one, jak kiedyś ich matka-samiczka, śledziły krzykliwe gonitwy języków i jaskółek, ich śmigły lot, ich zawrotne zygarki po niebie nad gołębnikiem. Wachlowy potem długo skrzydłami. Gwizdało jeszcze spod wiotkich skrzydeł, powietrze uchodziło jeszcze między luźnymi łotkami. Uczyły się latać!

A teraz właśnie jeden ostry gwizd Wojciecha i podniesienia tak zwanej „wichy” wysokiej żerdzi, zakończonej kawałkiem trzepoczącej smaty, podrywa wszystkie do lotu. Zaraz widąc jak biała chmurka gołębi lani pod słońce, wyżej i wyżej... Ich jasne kolory zmieszane z niebem... O, jak je można policzyć wszystkie... Piętnaście, dziewiętnaście... Jak motyle... Tam w górze szybują już sercate, zwinnie, szybkie i młode — ku wielkiej radości Wojciecha. Ich jasna czerwień w białej chmurce na tle płatów błękitnego nieba jak świecące punkciuki...

Samczek sercaty koziółkuje. Widać jak co chwila wywrotką opóźnia lot białej chmurki gołębi, zostaje trochę w tyle, dogania ją szybkim lotem — to znowu jest na przędzie, znowu niżej. Widać wyraźnie klepanie samców, jednostajny lot samicek. Są wysoko, jakby na skrzydłach unosiły błękitne niebo.

Nie odlatują nigdy daleko. Środkiem ich kołowego lotu jest prawie zawsze gołębnik. Tam na lawce, pod plotem, siedzi Wojciech-gołębiarz. O, teraz zgwiduje. Widać zaraz w górze jak samczek sercaty przysiadł na ognie i nagle opuszcza się w dół o kilkanaście metrów. Biała chmurka gołębi obrzuca się natychmiast, widać już wyciągnięte szyje srebriaków, czerwone pierśsi sercatych, koronki na głowach, czarne głowy „szwaroków”, czerwone — „kasztanów”. Św. powietrza nad głową rośnie coraz bardziej — jeszcze jedno kółko, jeszcze jedno krążenie nad domami i biała chmurka gołębi opada na czerwoną dachówkę. Sły-

chać zaraz głośnie gruchanie samców, potem bulgocące zgwidywanie Wojciecha i szum sypanej kukurydzy na gołębnik. Zlatują szybko — z klepaniem. Piękne białe, kolorowe... Dziewiętnaście...

NIC NIE zmieniłoby się w życiu Wojciecha, gdyby nad gołębnikiem nie ukazał się pierwszy wielki jastrząb. Lato dojrzało szybko, przekwitało — i miało. Lecz czy w życiu gołębnika przekwitanie, mijanie lata — odgrywa jakąś rolę? Mija bokiem niedostrzeżone, nachylone ku jesieni, chociaż słoneczne jeszcze i ciepłe. Lecz teraz, gdy nad gołębnikiem ukazał się jastrząb, dojrzeć można było tuż obok czerwonołistą jesień.

Pojawienie się pierwszego jastrzębia oznaczało dla gołębnika gorsze czasy. Toteż teraz Wojciech spędziwszy do lotu swoją białą chmurkę gołębią, wypatrywał z lękiem czy rychło nie pojawi się gdzieś, ten stary, ich największy wróg, jastrząb! Bury, ze spiczastymi skrzydłami w locie szybki, zwinnie, duży i drapieżny!

Lecz i teraz mimo jesieni, popołudnia są słoneczne, niebo niebieskie i wysokie, po nim rzadkie jesienne obłoki — więc górą na przedmieściu widać białe gołębie chmurki... jedną, drugą, trzecią, wysoko. Lśnią w słońcu, mijają się z obłokami, to znowu idą im naprzeciw, jakby na przekór — pod wiatr, aż w nagłym skrócie odrzucone wiatrem w tył, ślizgają się po powietrzu jakby miały być poniezione precz... Znowu jak jaskółki, wysoko... Ich jasne kolory zmieszane z niebem... Wysoko, co dzień...

...Aż w jedno jesienne popołudnie wielki krzyk gołębiarzy wzniósł się ponad domki przedmieścia, powtarzany wiele razy, trwożliwy i dziwne pierwotnie radosny zarazem: „Jastrząb! Jastrząb!” Zawirowało zaraz tam w górze, zakotłowało, pomieszało się wszystko w szychach gołębiach. Lekkie łączyły się szybko — to znowu rozdzielają, wszystkie jednak zgodne w jednym: coraz wyżej! Były wyżej! Nawet nie wiedząc dlaczego — i po co. Ku własnej zgubie. Oto znad łąk porosłych wiklinami, wielkimi kołami szybko szedł ku nim, jakby napowietrznymi schodami, bury, drapieżny, duży ze spiczastymi skrzydłami: jastrząb!

Odlatywał w bok, jakby już poniechał wszystkiego, powracał, parł w górę, wyżej jeszcze, nad nie! Potem znowu, już nad nimi, odchodził w bok dla nabrania rozpędu. O, teraz widać jak zwiększa ogromnie szybkość, pracuje silnie skrzydłami, zamyka je na chwilę, leci jak rzucony kamień z żyłością strzały — słychać jego przeraźliwy krzyk, jak urwany szloch, potem nagle jedno rozwarcie skrzydeł, jakby jeden trzepot — i już jest w środku strwożonej chmurki gołębi. Zaraz widać tam w górze, jak wszystko w niej — dzieje rozperzchało się trwożliwie, jakby po niespodzianej, smrotnie przegranej, napowietrznej bitwie ptasiej.

To było pierwsze uderzenie jastrzębia. Instynktowne, silne, jakby miało tylko na celu rozbicie szyków gołębi. Teraz znowu równymi napowietrznymi zakosami idzie w górę groźny i drapieżny gołąb wróg: jastrząb! Nad nim, jeszcze wyżej, ciągle także podnoszący się do góry, biały małe punkt, wnet zniknie — to gołąb... Już, już jastrząb! Już, już jastrząb! Już, już jastrząb! Jastrząb odlatuje znowu w bok dla nabrania szybkości i rozpędu, a już teraz, jak widać napowietrznego wroga, jak pionowo szubuje w dół coraz szybciej, coraz groźniej. Widać biały punkt, nad nim duży, czarny — to jastrząb! Rozdzielają się, łączą — jeszcze jedno uderzenie skrzydeł w prawo, jeszcze jeden skręt w lewo — aż wreszcie nad wysokimi topolami, nad dachami domów niemal, już nisko zlewają się razem — i... sercaty dostaje się w szpony jastrzębia.

Naraz urwany krzyk gołębiarzy wzniósł się w jesienne popołudnie dziwny i wrzszony zarazem: „Wziął, wziął, sercate! Jastrząb! Jastrząb!”

Jeszcze zerwią się gwałtowne uderzenia biczykami i kłami w deski parkanów, w zapalnice stodół, gwizdy na palcach przeraźliwe, pohukiwania głośnie i bezradne — lecz one nie odstraszą już drapieżnego, ptasiego wroga!

A potem znad topól posypały się białe i czerwone piórka, jak liście jesienne, jak śnieg... Dwa koła triumfalne nad domami — a potem bury, drapieżny ptak obniża lot i siada ze zdobyczą na pobliskich łąkach.

Wojciechowi zamroło serce! Najpiękniejszy gołąb, wychuchany przez niego od małego — sercaty! Widział jak gołąb wpadł w szpony jastrzębia, więc biegł teraz tam, na łąki, przez pola porane, przez mokradła, na osłep, potykał się o kretowiska, szybko biegł, byle nie stracić z oczu, byle przedź — a w pierśsi kołatało mu rozrosłe do potwornych rozmiarów jedno tragiczne słowo: „jastrząb!”. Jakby chciał nim teraz usmiercić, zabić jastrzębia!

Tam na mokradłach, za wiklinami, drapieżny ptak rozrywał potężnymi szponami gołębią zdobycę.

Wojciech przybiegł nareszcie. Rzucił kamieniem z całej mocy w czarną plamę za wiklinami i huknął: puu! puu! — i upadł... Poniosło się echem to słowo w pola jesienne... Zaraz poderwał się zza wiklinowych krzaków czarny ptak i uniósł swój żer dalej, w siniejący już wieczorem ugor...

Stała w rozkwicie czerwonołista jesień i drzewom jak piórka gołębie opadały niepotrzebne liście... Ostatnie, zbłąkane gołębie powracały do domu.

Tak oto kończy się opowieść o starym kochanym Wojciechu-gołębiarzu, który dalej chowa gołębie — i nienawidzi chytrych i drapieżnych jastrzębi, czyhających na życie spokojnych i gruchających ptaków.

KSIĄZKI — KSIĄZKI — KSIĄZKI — KSIĄZKI — KSIĄZKI — KSIĄZKI — KSIĄZKI — KSIĄZKI — KSIĄZKI — KSIĄZKI — KSIĄZKI — KSIĄZKI —

KSIEGI BEZPRAWIA

OBA TOMY liczą w sumie 735 stron druku. A mimo wszystko oderwałem się od tej książki dopiero wtedy, gdy dopłynąłem do końca ostatniej tzn. 735 strony. Weznie nie przesadzam — książkę W. Łozińskiego pt. „Prawem i Lewem” czyta się niezmiernie najbardziej sensacyjną powieścią Kostocińskiego. Agaty Christie czy Conan Doyle.

Czas i miejsce akcji, połowa XVII w. i Rus Czerwona obejmująca m. in. wschodnią część woj. rzeszowskiego. Najazdy, rozboje, mordy, rabunki, zajązdy, przywala i złota szlachcka wolność, dla której nie ma żadnych prawnych ani moralnych hamulców — wszystkie te sprawy Łoziński poświęcił trochę miejsca w swojej pracy. Atmosferę tego okresu i tej

ziemi oddają już pierwsze zdania wprowadzenia do książki, które napisał autor:

„Co za świat, co za świat! Groźny, dziki, zabójczy. Świat ucisku i przemocy. Świat bez władzy, bez rządu, bez ładu i bez miłosierdzia. Krew w nim tańsza od wina, człowiek tańszy od konia, świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatażyn, tego zabił opryszczek, kogo nie zabił opryszczek, tego zabił sąsiad. Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna”.

Na 735 stronach książki Łoziński bieżnie ten świat gwałtu i przemocy opisał, pokazywał jego zgniół. Bezprawie, jakie na niego panuje. Ten obraz ówczesnego świata autor wy-

sobie, że swojej li tylko fantazji. O wszystkich wydarzeniach relacjonuje na podstawie źródeł nrechiwalnych — akt grodzkich takich miast jak np.: Sanok, Przemysł, Lwów itp. Akta sądowe pozwalają mu niejednokrotnie zaglądnąć poza kulisy dziejących się wydarzeń, ukazać słabości, namiętności i przywary, które ludzi pchnęły do zbrodni.

Pewna specyfika południowo-wschodniej Polski z jej różnicami narodowościowymi najładniej latackimi i konfliktami wyznaniowymi dodaje historii, o których pisze Łoziński posmak jeszcze większej sensacji.

Komuz z nas nie obito się o uszy nazwisko — Stadnickiego — Łańcuckiego Diabła? Ale ilu jest takich, którzy potrafiliby powiedzieć coś bliższego o osobie tego warchola nad warcholę, awanturnika nad awanturnikami, lotra nad lotry, siłającego pstrażach na ziemiach od Leżajska po Sanok i od Rzeszowa po Lwów? Łoziński z akt sądowych i z niezliczonych skarg, które Stadnicki wnosil

do wszystkich prawie w Polsce trybunałów potrafil w swej książce odwzorzyć historię tego butnego magnata noszącego się nawet z zamiarem osadzenia na tronie polskim Gabriela Batorego — księcia siedmiogrodzkiego. Wygrzebał m. in. z tych akt wiersz, który Stadnicki kazał wyryć na tablicy i ustawił między Swilczą a Trzolaną, w miejscu gdzie ludzie Opalińskiego magnata, który widł fornalną wojnę ze Stadnickim stupił w 1608 r. transport wina i różnych innych towarów wiezionych ze Śląska do Łańcuta.

Z kart książki wyliera ponur y obraz anarchii, która szerzyła się na ziemiach: sanockiej, przemyskiej, iwowskiej i halickiej. Takich jak Stadnicki nie brakowało w rejonie zamkniętym między miastami: Rzeszowem, Krosnem, Leskiem i Przemysłem. Herbultowie, Wapowsy, Drohojowscy, Biłwey, Frędłowic, Bobolowie, Ligezowie, Ursy, Winnicy, Nehrbeccy, Bilhscy, Popiele etc. — wszyscy odznaczali się

jednakowymi „przymiotnikami” — zdołnością do gwałtów i zbrodni. Tym, którzy mieli siłę i rozgągnięte stosunki rodzinne uchodziły one na ogół bezkarnie. I choć procesom — jak dowiadujemy się z „Prawem i Lewem” nie było końca, wykonania wyroków mało kiedy dotrafiło do pełnowartościowego, chyba że chodziło o chłopca. Temu nie przepuszczano najmniejszego uchylenia wobec „prawa”.

Dobrze się stało, że krakowskie „Wydawnictwo Literackie” po 27 latach wznowilo „Prawem i Lewem”. Dzieło Łozińskiego bowiem nie tylko uczy i kształci, zbliżając nas ogromnie do XVII-wiecznej rzeczywistości, ale i pozwala nam dotychczas ocenę ten okres dziejowy Rzeczypospolitej, kiedy to obok przejawów świetności odczuwano już pewne miazmaty rozkładu. Prócz tego „Prawem i Lewem” to kawał historii, w której możemy, historii, która złotymi zgłoskami w naszych dziejach na pewno się nie zapisała. A że ta książka wyszła spod pióra

świętego stylisty, czyta się więc ją od początku do końca z niesłabnącym zainteresowaniem.

Być może, że będzie to porównanie wulgarnie, ale je zarzykuje — historia o których pisze Łoziński czyta się miejscami niezmiernie reporterkę z „Ekspresu Wieczornego” czytającego nas przedzie co dzień porcją świeżych „kryminałów”. W „Prawem i Lewem” też nie brakuje relacji o gwałtach, rabunkach i mordostwach, tylko, że ich sprawy są zawsze niemal znane. Rekrutowali się zaś jak śladno z książki Łozińskiego przekonać się możemy z... najbardziej szanowanych rodn Szlachectkiej Rzeczypospolitej.

*) Władysław Łoziński — „Prawem i Lewem” — „Wydawnictwo Literackie”, Kraków Str.; tom I — 361, tom II — 394 (z indeksem nazwisk i miejscowości) — 430.
Cena I/II tomu — 75 zł.

ZMATERIALIZOWANY DUCH

(FRAGMENTY STENOGRAMU)

Prowadzona przez „Nowiny Tygodnia” od 4 miesięcy kampania pod hasłem „Wywołujemy ducha kolekcjonerstwa” — znalazła duży odzew, spotykając się z nadspodziewanym zainteresowaniem ze strony czytelników. Plon tej kampanii: liczne artykuły, bogata korespondencja, nawiązanie kontaktów między poszczególnymi zbieraczami, próby stworzenia ram organizacyjnych sprzyjających rozwojowi tego ruchu — wszystko to było w dniu wczorajszym przedmiotem dyskusji, która odbyła się w redakcji „Nowin”. Wzięli w niej udział inicjatorzy kampanii i niektórzy autorzy publikacji traktujących o kolekcjonerstwie.

Poniżej publikujemy fragmenty stenogramu tej dyskusji, ponieważ — jak uważamy — zastąpił to artykuł podsumowujący, który zwykło się pisać przy końcu każdej tego typu akcji. Będą to głosy doc. Franciszka Kotuli (K), red. Jerzego Mireckiego (M), red. Jerzego Piskora (P), tow. Jana Sochala (S) i mgr Władysława Zalewskiego (Z).

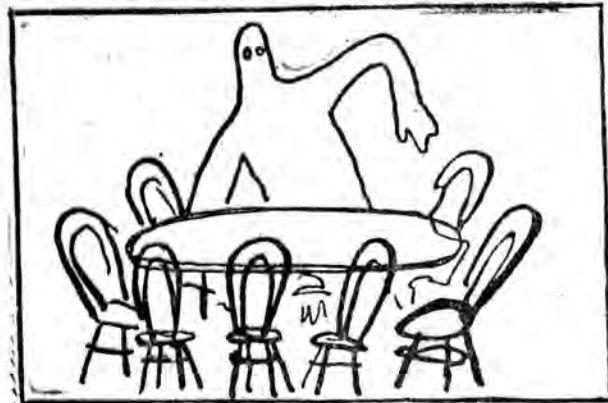
P: W tej chwili mamy jeszcze 7 niedrukowanych artykułów, traktujących o kolekcjonerstwie, przy czym kilka osób wyraziło dodatkowo chęć zabrania głosu w tych sprawach na łamach „Nowin Tygodnia”. Możliwe, że napłyną w najbliższym czasie jakieś materiały, wypowiedzi, zdjęcia, o których dotychczas nie wiemy. Co z tym wszystkim zrobić? Przecież zamieszczać trzeba artykuły na różne tematy, istnieje wiele istotnych problemów, a „Nowiny” nie są — niestety — z gumy i wszystkiego pomieścić nie zdołają...

Z: Jako czytelnik mógłbym powiedzieć: kto narobił bigosu, niech gości nie woła, ale ponieważ ten bigos udał się wyjątkowo — więc nie żałuję, że biorę udział w dzisiejszej dyskusji. Wśród kolekcjonerów, tych faktycznych i tych in spe, wśród ludzi znających wiele zbieraczy — kampania „Nowin” wywołała rzeczywiste duże poruszenie. Chodzi mi o to, aby wszystko nagłe znowu nie ucizło.

P: Nie myślałem o zaprzestaniu w ogóle drukowania artykułów i wiadomości z dziedziny zbieractwa, lecz tylko o tym, aby te tematy odpowiednio dozować. Zdeaktualizować się to przecież nie może. A duch kolekcjonerstwa po tym, co już pisaliśmy — nie powinien zniknąć.

S: Trudno powiedzieć, aby te rzeczy przychodziły u nas łatwo. Żeby zostać kolekcjonerem, trzeba być trochę filozofem, a Polska jest krajem, gdzie nie zdołał zakorzenić się kult filozofii. Tak jak filozofia nie stała się u nas popularna i w mowie potocznej uchodziła za synonim gadania po różnicy — tak też pod-

obie ma się sprawa ze zbieractwem. Wielu ludziom niesłusznie wydaje się, że kolekcjonowanie przedmiotów wartościowych z punktu widzenia naukowego, kulturalnego czy też historycznego — to takie trochę trawienie czasu. Aby mieć inny pogląd, trzeba być dościkliwym, światłym i cierpliwym. A zwłaszcza potrzebna jest cierpliwość, która bywa gorzka, lecz jej owo-



ce mogą być w tym wypadku naprawdę słodkie.

Z: Wystarczy porównać to co jest u nas z niesłychanym rozwojem ruchu kolekcjonerskiego na całym świecie. Nie można pa trzeć dłużej, jak przepadają, niszczą się bezcenne wartości. Istniejące tradycje, osiągnięcia, jakie już są — trzeba rozwijać, podsycać zamięłowania i wskazywać kierunki tej pracy, która ma na celu zachować dla przyszłych pokoleń u wierzycielnią pamięć o czasach minionych. Zdarzają się tacy, którzy wszystkich stawiają na nogi, lecz sami nie znają drogi. Widzę tu m. in. potrzebę instruowania... a co uważają inicjatorzy kampanii, prowadzonej do tej pory przez „Nowiny Tygodnia”?

M: Publikowanie wielu dalszych artykułów nic już dać nie może, najwyżej argumenty, przykłady zaczęła się powtarzać, a to dobre nigdy nie jest. „Za długo pieką kasztany — spalisz je, mój kochany” — mówi przysłowie. Stale instruować i organizować nie może gazeta, muszą to już robić placówki do tego specjalnie powołane — wydzielni kultury, szkoły, muzea itp. Warunkiem kolekcjo-

nowania jest posiadanie pasji intelektualnej, której narzucić nikomu się nie da. Myślę, że przede wszystkim warto się dziś zastanowić, jakie kolekcjonerstwo w naszych warunkach jest społecznie najbardziej pożyteczne i jaką realną pomoc można mu zapewnić.

K: Na wstępie chcę tylko nadmienić, że zbieractwo nie jest wyłącznie pracą dla przyszłych pokoleń. Proszę nie zapominać, że przeszłość tak samo jak przyszłość jest zawsze wygodnym miejscem do marzeń... Ale co ja chciałem powiedzieć?... Otóż, to — Mało kogo stać, jak wiemy, na lokowanie w kolekcjach dużych funduszy, choć i tacy ludzie są. A więc bierzemy przede wszystkim pod uwagę przedmi-

ty, których zbieranie wymaga czasu, miejsca i znajomości rzeczy, ale nie wymaga wielkich pieniędzy. I tu tutaj trzeba — raz odciąć się od wszystkich takich zbieraczy, którzy dochodzą do wielkich nieraz kolekcji — powiedzmy to szczerze drogą przywieszczania, wyjudzania...

S: Tych wykluczamy!

K: Tak, tak — absolutnie. Taki odrabia na ilość. Chce jak najwięcej obdzieć i bez zastanowienia zwędzić... Jest jak chirurg na obchodzie szpitalnym; myśli tylko — co by tu jeszcze uciąć?!

S: Wynikiem tego są zazwyczaj bardzo przypadkowe kolekcje. Półki, na których leżą przedmioty — nie wiedzą co dobre, a co nie nie warte. Są rzeczy całkiem nie tak dawne, a już kryjące w sobie wiele niejasności. Dlatego też trzeba stale przypominać, że do zbieractwa potrzebne jest przygotowanie, przy czym warto popularyzować tylko kolekcjonerów.

M: Sensowni mogą być różni kolekcjonerzy. — Tak jak dla człowieka nudnego — wszystko jest nudne, tak dla ciekawego życia — wszystko jest ciekawe.

we. Czy jednak można stwierdzić, że różne kolekcje dotyczące konkretnie naszego regionu mogą mieć szczególne znaczenie dla miejscowego społeczeństwa, dla dalszego rozwoju tej ziemi?

Z: Na pewno tak.

K: To jest zrozumiałe. Weźmy choćby ten przykład: pewien chłop w naszym województwie zebrał wszechstronne materiały, dotyczące historii jego wsi. Pracę ukończył niedawno; w rezultacie powstała pasjonująca monografia, która zawiera szereg podań, wskazań, nauk. Jest to równocześnie niezmiernie ciekawy opis, obfitujący w momenty i dramatyczne, i komiczne.

S: Jakże ma zakończyć?

K: Smutne, bo nikt tego na razie wydać nie chce. Ale po dokonaniu skrótów, zresztą koniecznych — wydawca prawdopodobnie się znajdzie.

P: Pozostała nam w zasadzie jedna sprawa: ustanowienie, że tak powiem — ośrodka ruchu kolekcjonerskiego w województwie rzeszowskim.

S: Taki ośrodek może być tylko w Muzeum w Rzeszowie. Fachowe siły, największe zbiory, a o lokal w wyremontowanym gmachu nie będzie też tak trudno.

M: Dyrektor Kotula już o tym wspominał. Zależy tylko nie zmienić zdania...

K: No, cóż... słowo się rzekło... Poświęć na ten cel osobny lokal.

P: A redakcja będzie kierować do koła kolekcjonerów przy Muzeum wszystkich interesujących się zbieractwem. Niedawno powiedzieliśmy się, że art. malarz Jerzy Majewski z Rzeszowa — ma wspaniałą kolekcję numizmatyczną. Będziemy też regularnie informować czytelników o działalności ośrodka, o by tylko była ona ożywiona. Tak jak żywa była dotychczasowa wymiana zdań w sprawie kolekcjonerstwa na łamach „Nowin Tygodnia”. W ten sposób duch kolekcjonerstwa zmateriałizuje się ostatecznie!

na pytania ODPOWIADA:

inż. mgr arch. ANDRZEJ GALAR
prezes oddziału SARP w Rzeszowie

SARP w Rzeszowie zrzesza 50 członków. Jako samodzielny oddział istnieje od 1956 r.

Jakie problemy tworzącej się obecnie w centrum uwagi rzeszowskich architektów?

— Siarka, a więc projektowanie przez architektów zrzeszonych w SARP osiedli mieszkaniowych dla ludzi, którzy będą zatrudnieni w jej kopalniach i to zarówno na terenach należących do naszego województwa, jak i do kieleckiego.

Głównym projektantem osiedla dla mieszkaniowego Swiniary przy kopalni w Piasecznie jest inż. Martens, zaś współtwórcą projektu inż. Kopcuch. Oprócz osiedla mieszkaniowego przewidziana jest budowa tzw. osiedla awaryjnego, dla różnych rodzajów specjalistów, zaangażowanych tylko na czas budowy kopalni siarki. Osiedle awaryjne projektował również członek SARP inż. Nosek. Są to prace, które zmierzają do stworzenia osiedla całkowicie nowego, nie są natomiast złączkami przyszłego miasta, które ma być zlokalizowane w Dębnie lub okolicach Baranowa. Dyskusja na ten temat trwa.

— A poza siarką?

— Aktywizacja małych miast i miasteczek. Wkład pracy członków SARP w tej dziedzinie, to twórczy udział w planach porządkowania i zagospodarowania miast i miasteczek. Są to prace urbanistyczne, jak również przy projektowaniu architektonicznym dla uzupełnienia zabudowy miast, np. Kolbuszowej, Biecia, Tyńca, Głogowa, Dukli, Birczy i in.

— Czy dla Rzeszowa jest również coś nowego na warsztacie architektów?

— Owszem, z większych budowli jest już na kopii projekt szpitala wojewódzkiego.

— Na ogół mówi się o tym, że w kraju mamy za dużo inżynierów architektów. Jak ta sprawa przedstawia się na naszym terenie?

— Jeśli chodzi o Rzeszów i województwo, odczuwamy wielki brak tego rodzaju twórców. Dotychczas nie są obsadzone stanowiska architekta oraz kierownika pracowni urbanistycznej dla miasta Rzeszowa. Poza tym potrzeba przy najmniej kilku doświadczonych architektów na odpowiednie stanowiska na terenie całego naszego województwa.

— Czym należy tłumaczyć brak chęci osiedlania się tego rodzaju specjalistów w naszym województwie?

— W dwóch słowach: brak mieszkań.

— Jak wiadomo, stowarzyszenia twórcze ożywiły bardzo swoje kontakty z zagranicą. Jak się kształtuje tego rodzaju wymiana w zakresie działalności SARP?

— Oprócz stosunkowo częstych i licznych wyjazdów do ZSRR i krajów demokracji ludowej, członkowie naszego stowarzyszenia, w tym wielu z Rzeszowa, brało udział w wycieczkach do krajów skandynawskich oraz Francji, Włoch i Niemiec.

— Jakie wnioski wyciągnięto w praktyce z zacerpnionych tam wzorów?

— Budownictwo za granicą opiera się obecnie na nowych materiałach, które u nas jeszcze w tej chwili nie mają szerokiego zastosowania, a mianowicie żelbet i masy plastikowe, stąd też i projektowanie utrzymuje się w granicach dotychczasowych form.

— A kiedy zobaczymy obiekty projektowane — nazwijmy to — ultra nowoczesnie?

— To zależy przede wszystkim od przemysłu materiałów budowlanych.

Rozmawiała:

M. TROJANOWSKA

PRZECIW KOMERCJALIZACJI KULTURY

(Ciąg dalszy ze str. 1)

U nas dopłaty państwa do kultury, do jej rozwoju i upowszechnienia, są koniecznością wynikającą z samych założeń ustrojowych. Budownictwo socjalizmu zakłada nie tylko określony rozwój gospodarczy, ale także podniesienie umysłowego i kulturalnego poziomu społeczeństwa. Pogodzić się więc musimy z tym, że to inne resorty muszą zapracować na budżet Ministerstwa Kultury, zwłaszcza zaś na jego część przeznaczoną na upowszechnianie kultury.

Niestusznym i szkodliwym są dają się projekty, by w przyszłości czytelnicy placili np. za abonament biblioteczny. Właśnie powszechnie, jak dramatyczna jest sytuacja w dziedzinie czytelnictwa. Procent robotników, którzy w ogóle nie czytają, lub czytają rzadko i przypadkowo, jest niezwykle wysoki. Czy więc w sytuacji, gdy trzeba wśród nich wyrobić dopiero nawyk sięgania po książkę, aby najważniejszym problemem jest uczynienie z książki chleba powszedniego — dopuszczalne jest pobieranie za czytelnictwo obowiązkowej opłaty?

Członkowie Klubu Krzywego Koła dowiedzieli się niewątpliwie z wypowiedzi młodą socjologów, o tym, że 35 proc. robotników warszawskich nie chodzi w ogóle do teatrów. Wynika z tego, że udostępnienie kultury nie oznacza jeszcze jej upowszechnienia. Stworzenie — możli-

wości korzystania z urządzeń kulturalnych — muzeów, bibliotek, teatrów i koncertów — nie jest bynajmniej równoznaczne z ich rzeczywistą popularyzacją. Wyrobienie w człowieku gorącej potrzeby korzystania z tych urządzeń — to właśnie jedno z zadań pracy nad upowszechnieniem kultury.

PRACA kulturalna — oświatowa jest w gruncie rzeczy pracą wychowawczą. Skutków jej nie można mierzyć sprawnością nóg w zespole tanecznym, ani nawet ilością przeczytanych ksiązek. Obserwowanie skutków wychowawczych jest, niestety, dostrzegalne dopiero na przestrzeni lat.

I może właśnie to jest jedną z przyczyn, dla których kierownik domu kultury w Nowej Hucie nie dostrzega odpowiedzialności, jaka zostaje nań nałożona i nie rozumie, że nie zarobków oczekuje od niego państwo. Oczekuje natomiast, aby w Nowej Hucie ludzie przyzwyczaili się korzystać z tego wszystkiego, co udostępniła im rewolucja społeczna.

Dziś nikomu nie przyszłoby do głowy wymagać rentowności od szkoły. Jej powszechność i bezpłatność jest naszą poważną zdobyczą. Upowszechnienie kultury jest sprawą w zasadzie analogiczną. Mit, że człowiek podatny jest na wychowanie i nauczanie tylko do pewnej granicy wieku, utrzymuje się w zasadzie prawem bez-

wład. Człowieka można kształcić i wychowywać do późnych lat jego życia. I taki jest właśnie cel pracy kulturalno — oświatowej.

Popularyzacja kultury nie może i nie powinna być domeną czysto finansowej rachuby. Wprost przeciwnie. Po głębszym zastanowieniu wydaje się to mocno szkodliwe. Były wprowadzile głosy domagające się wprowadzenia opłat za szereg usług kulturalnych. Głosy takie miały i mają uzasadnienie wówczas, gdy trzeba było odzwyczajać społeczeństwo od „darmochoy”. Opłaty takie mogą co najwyżej być traktowane jako pewien zabieg psychologiczny, ale nie jako cel sam w sobie. Praktyki domu kultury w Nowej Hucie przerażają jednak ramy zabiegu psychologicznego, stają się źródłem dochodu poszukiwanego za wszelką cenę. I to jest niepokojące. Zgodzić się wprowadzić opłaty z pewną gradacją w tej dziedzinie: inne znaczenie mają opłaty za naukę kroju i szycia, inne za naukę na Uniwersytecie Powszechnym.

A ponieważ i zespoły amatorskie, i czytelnicy, i nawet szachy składają się na elementy kultury i samowychowania, trzeba chyba wytłumaczyć tym, którzy tak skrzętnie notowali na naradzie źródła ewentualnych zaobsków, że zostali wprowadzeni w błąd. Ze ta droga zaprowadzi może w ślepy zaułek.

BARBARA SIDORCZUK

ŚWIAT W OBIEKTYWIE — ŚWIAT W OBIEKTYWIE



W Londynie, na wybrzeżu Wiktoria, wystawiają swe prace malarze angielscy, którzy mają nadzieję sprzedać tu swe obrazy lub znaleźć mecenasów. Za ich przykładem posiadają malarki malarz. A może ma on przed sobą karykaturę Picassa?



W NRD zaprezentowana nową kolekcję wiosenną na rok 1958. Na zdjęciu: Elegancki płaszcz podróżny. Fot. — CAF

